

J o h a n n a
Lindsey



*Dla siebie
stworzeni*

Niezapomniany romans z cyklu o rodzinie Malorych

Świat Książki

*Dla siebie
stworzeni*

J o h a n n a
Lindsey

*Dla siebie
stworzeni*

Z angielskiego przełożyła
Elżbieta Kowalewska

Tytuł oryginału
THAT PERFECT SOMEONE

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Jerzy Lewiński

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Grażyna Henel
Jolanta Rososińska

Copyright © 2010 by Johanna Lindsey

All rights reserved

Original publisher: Gallery Books, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.,
Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2733-9

Nr 45129

1

Traktowanie Hyde Parku jako prywatnego ogrodu na tyłach domu może wydawać się dziwne, ale Julia Miller tak właśnie go postrzegała. Dorastała w Londynie i odkąd sięgała pamięcią, codziennie jeździła tam wierzchem – najpierw jako dziecko na swoim pierwszym kucyku, a potem na rasowych klaczach. Ludzie pozdrawiali ją – czy ją znali, czy nie, tak przywykli do jej widoku w parku. Elita towarzyska, subiekci sklepowi spieszący do pracy przez park, ogrodnicy – wszyscy poznawali Julię i traktowali ją jak swoją znajomą.

Wysoka, jasnowłosa, ubrana zgodnie z kanonami najnowszej mody, zawsze odwzajemniała im uśmiechy i pozdrowienia. Należała do osób o przyjaznym usposobieniu, więc inni odplacali jej tym samym.

Jeszcze dziwniejsze od traktowania przez Julię gigantycznego parku jako prywatnego terenu jeździeckiego było samo jej życie. Dorastała w arystokratycznej dzielnicy miasta, choć jej rodzina nie należała wcale do najwyższej klasy społecznej. Mieszkała w jednym z największych budynków przy Berkeley Square, gdyż nie tylko szlachtę stać było na takie domy. W rzeczywistości rodzina Julii, której nazwisko pochodzi z czasów średniowiecznych, gdy

rzemieślnicy przybierali je od wykonywanego przez siebie zawodu, była jedną z pierwszych kupujących grunt i budujących się w tym miejscu. Miało to miejsce w połowie osiemnastego wieku, tuż po wytyczeniu placu, tak więc Millerowie mieszkali tam już od wielu pokoleń.

Julia była w swoim otoczeniu dobrze znana i lubiana. Jej najbliższa przyjaciółka, Carol Roberts, pochodziła z rodziny szlacheckiej, a inne młode panny z towarzystwa, znające ją przez Carol lub z prywatnych szkół, do których uczęszczała, także ją lubiły i zapraszały na swoje przyjęcia. Nie czuły się zagrożone ani jej urodą, ani dostatkami, gdyż była zaręczona. Małżeństwo Julii zaaranżowano wkrótce po jej narodzinach.

– Jak miło cię tu spotkać – usłyszała z tyłu kobiecy głos. Carol Roberts zrównała się z nią i jej klacz swobodnie kłusowała obok klaczy Julii.

Julia zaśmiała się do drobnej, ciemnowłosej przyjaciółki.

– To ja powinnam tak powiedzieć – stwierdziła. – Ostatnio rzadko tu jeździsz.

Carol westchnęła.

– No tak. Harry tego nie lubi, zwłaszcza że staramy się o nasze pierwsze dziecko. Nie chciałby, abym je straciła, zanim jeszcze się dowiemy, że zostało poczęte.

Julia wiedziała, że jazda konna rzeczywiście może spowodować poronienie.

– To dlaczego ryzykujesz? – spytała.

– Bo w tym miesiącu nie poczęłam dziecka – odparła Carol, ściągając usta w zasmuconą podkówkę.

Julia pokiwała głową ze współczuciem.

– Poza tym – dodała Carol – tak mi brakowało naszych wspólnych przejażdżek, że mam zamiar nie słuchać Harry'ego przez te kilka dni miesiączki, kiedy i tak nie będziemy próbowali.

– Nie było go w domu i nic nie wie? – zgađła Julia.

Carol roześmiała się z przewrotnym błyskiem błękitnych oczu.

– Rzeczywiście go nie ma – odparła – a ja wrócę do domu przed nim.

Julia nie martwiła się, czy jej przyjaciółka przypadkiem nie wpadnie w małżeńskie tarapaty. Harold Roberts uwielbiał swoją żonę. Poznali się i polubili jeszcze przed pierwszym sezonem Carol w towarzystwie, trzy lata temu, toteż nikogo nie zaskoczyło, że w ciągu kilku tygodni od jej pojawienia się na salonach zaręczyli się, a kilka miesięcy później wzięli ślub.

Carol i Julia przez całe życie były sąsiadkami. Ich domy stały obok siebie przy placu Berkeley, oddzielone jedynie wąską alejką. Także okna ich sypialni znajdowały się naprzeciwko – same o to zadbały! – tak aby nawet nie odwiedzając się nawzajem, mogły swobodnie przez nie rozmawiać. Nic dziwnego, że zostały najlepszymi przyjaciółkami.

Julia bardzo tęskniła za Carol. Choć często się odwiedzały, gdy Carol była w Londynie, nie mieszkały już po sąsiedzku. Po ślubie przyjaciółka wyprowadziła się do domu męża, wiele budynków dalej, a co kilka miesięcy wraz z Haroldem spędzała całe tygodnie w rodowym majątku jego rodziny na wsi. Miał on nadzieję, że kiedyś zamieszkają tam na stałe. Na szczęście Harold nie należał do mężów apodyktycznych, podejmujących wszystkie decyzje, bez oglądania się na życzenia małżonki.

Jechały dalej obok siebie przez następne kilka minut, lecz Julia była już w parku od godziny, więc zaproponowała:

– Może w drodze powrotnej do domu chcesz się zatrzymać w herbaciarni na lody?

– Jeszcze zbyt wcześnie i nie dość ciepło na lody. Jednak jestem bardzo głodna i naprawdę stęskniłam się za poran-

nymi wypiekami pani Cables. Czy nadal macie rano bufet śniadaniowy?

– Oczywiście. Czyż miałyby się to zmienić tylko dlatego, że ty wyszłaś za męża?

– Widzisz, Harold nie chce wykraść waszej kucharki. Ciągłe go molestuję, żeby przynajmniej spróbował.

Julia wybuchnęła śmiechem.

– Wie, że go na nią nie stać – powiedziała. – Za każdym razem, gdy ktoś usiłuje ją podkupić, ona mi to mówi, a ja podnoszę jej pensję. Wie, jak dbać o swoją kieszeń.

Takie decyzje podejmowała Julia, gdyż jej ojciec, Gerald, już nie był w stanie. Kiedy matka jeszcze żyła, nigdy o niczym nie decydowała. Helene Miller nie kontrolowała w swoim życiu niczego – także i swego domostwa. Była kobietą nieśmiałą i obawiała się urazić kogokolwiek, nawet służących. Pięć lat temu zginęła w wypadku, jadąc powozem; Gerald Miller został po nim kaleką.

– Jak się miewa ojciec? – zapytała Carol.

– Tak jak zawsze.

Carol zawsze ją pytała, a odpowiedź Julii rzadko bywała inna. Ma szczęście, że żyje – powiedzieli lekarze. Ku jej przerażeniu stwierdzili, że Gerald już nigdy nie będzie sobą, doznał bowiem w wypadku zbyt silnego urazu głowy. O ile jego siedem złamanych tamtego dnia kości się zrosło, mózg nigdy nie miał już odzyskać sprawności. Lekarze powiedzieli to wprost, nie dawali żadnej nadziei. Ojciec tak jak zawsze zasypiał i budził się, a nawet jadł, gdy się go karmiło, ale nigdy już nie mógł normalnie mówić, a jedynie coś bełkotał. Szczęście, że żyje? Julia często płakała, nie mogąc zasnąć, gdy o tym myślała.

A jednak Gerald nie podporządkował się werdyktom lekarzy. Pewnego razu w pierwszym roku po wypadku, a potem co kilka miesięcy na krótko, ale przypominał sobie,

kim jest, gdzie się znajduje i co mu się przytrafiło. Początkowo, gdy wracała mu pamięć, ogarniała go taka wściekłość i ból, że trudno było nazwać te przeblyski błogosławieństwem. Ale pamięta! Za każdym razem, gdy odzyskiwał świadomość, wracała mu pamięć z poprzedniego okresu jasności umysłu. Na kilka minut lub godzin stawał się znów sobą, choć nie trwało to długo. Nigdy jednak nie przypomniał sobie nic z czasu, gdy jego umysł był uśpiony.

Lekarze nie potrafili tego wyjaśnić. Nie spodziewali się, żeby kiedykolwiek mógł odzyskać spójność myśli. Nadal nie dawali Julii żadnej nadziei na to, że kiedyś może całkiem wyzdrowieć. Jego nawroty świadomości nazywali łutem szczęścia. Takie przypadki nie były udokumentowane, nigdy przedtem się z nimi nie zetknęli. Ostrzegali Julię, by nie oczekiwała, że to się zdarzy ponownie. Ale się zdarzało.

Serce jej się rozdzierało, gdy za trzecim razem ojciec, odzyskawszy pamięć, zapytał:

– Gdzie jest twoja matka?

Uprowadzono ją, że gdyby się znów „obudził”, musi utrzymać go w spokoju, co oznaczało, że nie wolno mu powiedzieć o śmierci matki w wypadku.

– Poszła dziś po zakupy – oznajmiła. – No... wiesz, jak lubi kupować.

Ojciec roześmiał się. Była to jedna z niewielu rzeczy, przy których matka wykazywała się zdecydowaniem: kupowanie przedmiotów, których wcale nie potrzebowała. Ale Julia wciąż była zrozpaczona i z największym trudem mogła uśmiechnąć się w tym momencie, a potem powstrzymywać napływające do oczu cały czas łzy, dopóki ojciec nie pograżył się znów w otchłani niepamięci.

Oczywiście zasięgała rady różnych lekarzy. Za każdym razem, gdy kolejny z nich mówił, że Gerald już nigdy nie

wyzdrowieje, odsyłała go i szukała innego. Po jakimś czasie przestała ich zmieniać i powierzyła ojca opiece doktora Andrew, ponieważ ten przyznał uczciwie, że jego przypadek jest niezwykły.

Nieco później, w pokoju śniadaniowym Millerów, Carol niosła do stołu pełen talerz oraz cały koszyk wypieków, gdy nagle zatrzymała się w pół drogi, widząc w pomieszczeniu coś nowego.

– Dobry Boże, kiedy to zrobiłaś?! – wykrzyknęła, odwracając rozszerzone ze zdziwienia oczy w stronę Julii.

Ta spojrzała na ozdobne pudełko stojące na szafce z porcelaną, które przykuło uwagę przyjaciółki. Wyłożone niebieską satyną i wysadzone szlachetnymi kamieniami, miało szklany wierzch, pod którym siedziała śliczna lalka. Julia usiadła przy stole, z trudem usiłując nie oblać się rumieńcem.

– Kilka tygodni temu – odparła, wskazując Carol miejsce przy stole. – Znalazłam nowo otwarty sklep tuż obok jednego z naszych. Robią tam takie ładne pudełka na rzeczy, które chce się przechować, a ta lalka to coś, co wolałabym, aby nigdy nie rozsypało się ze starości. Zamówiłam więc dla niej to pudełko. Jeszcze się nie zdecydowałam, gdzie ją postawić, bo mój pokój jest taki zagracony. Ale przyzwyczajam już się do jej widoku tutaj.

– Nie wiedziałam, że jeszcze masz tę starą lalkę ode mnie – rzekła Carol ze zdumieniem.

– Naturalnie, że mam. Wciąż należy do moich skarbów.

Była to prawda; nie dlatego, że Julia tak lubiła lalkę, lecz że ceniła przyjaźń, którą ona symbolizowała. Carol nie oddała jej lalki od razu, gdy się poznały. Kiedy dostała nową, nie wyniosła starej na strych, aby więcej jej nie oglądać, lecz pamiętając, że Julii się podobała, nieśmiało zaproponowała ją przyjaciółce.

Carol zaczerwieniła się na wspomnienie tamtego dnia i zaśmiała się figlarnie.

– Ależ byłeś wtedy małym potworem.

– Nie byłam taka zła – parsknęła Julia.

– Byłaś! Krzyczałaś ze złości, tyranizowałaś, rozkazywałaś. Za wszystko się obrażałaś! Jak tylko się poznałyśmy, chciałaś mnie uderzyć w nos, i zrobiłabyś to, gdybym ja ciebie pierwsza nie kopnęła w siedzenie.

– Byłam pod wielkim wrażeniem. – Julia się uśmiechnęła. – Ty pierwsza w życiu mi się sprzeciwiłaś.

– No, nie miałam zamiaru oddać ci swojej ulubionej lalki – nie podczas naszej pierwszej wspólnej zabawy! Nawet nie powinnaś o to prosić. Ale naprawdę nigdy ci się nie sprzeciwiano? – spytała ze zdziwieniem.

– Tak, to prawda. Moja mama była zbyt słaba i bezwolna, no cóż, sama pamiętasz. Zawsze mi ustępowała. A tata miał za miękkie serce. Nigdy nie mówił: „nie” nikomu, a cóż dopiero mnie. Nawet kucyka dostałam na długo przedtem, zanim dorosłam do jazdy na nim, tylko dlatego, że sobie tak zażyczyłam.

– Ach, to pewnie dlatego byłeś takim małym potworem, gdy się spotkałyśmy. Zepsutum do granic możliwości.

– No, nie aż tak, ale rzeczywiście mogłam być trochę rozpieszczona, bo moi rodzice nie potrafili być wobec mnie stanowczy, a moje guwernantki i służący też nie zamierzali uczyć mnie dyscypliny. Ale nie byłam taką wrzeszczącą piekielnicą aż do dnia, w którym spotkałam mojego narzeczonego. Była to obopólna nienawiść od pierwszego wejścia. Nie chciałam go nigdy więcej oglądać. Wtedy po raz pierwszy moi rodzice postawili na swoim i można powiedzieć, że mój napad złości trwał wiele lat. Dopóki nie poznałam ciebie, nie miałam żadnych przyjaciół, którzy by mi powiedzieli, jakie to niemądre. Ty pozwoliłaś mi zapo-

mnieć o nim, przynajmniej pomiędzy wzajemnymi odwiedzinami, które wymuszali na nas rodzice.

– Gdy się poznałyśmy, dość szybko się zmieniałaś. Po ile miałyśmy wtedy lat?

– Po szczęście, ale ja się tak szybko nie zmieniałam, tylko nie chciałam, żebyś była świadkiem moich hysterii, przynajmniej dopóki nie odwiedził mnie narzeczony. Nie umiałam dobrze ukrywać swojej niechęci do niego nawet w twojej obecności, prawda?

Carol roześmiała się, ale tylko dlatego, że sama Julia uśmiechała się, mówiąc te słowa. Julia wiedziała przecież, że jej przyjaciółka zdaje sobie sprawę, jak mało zabawnie wyglądało to w tamtym czasie. Niektóre jej walki z narzeczonym były naprawdę brutalne. Raz prawie odgryzła mu ucho. Ale to była jego wina. Od pierwszego spotkania, gdy miała zaledwie pięć lat i wierzyła, że będzie jej najlepszym kolegą, on pogrzał te nadzieje swoją arogancją i ciągłymi pretensjami, że to właśnie ją dla niego wybrano. Podczas każdej wizyty, jakie sobie składali, doprowadzał ją do takiej furii, że miała ochotę rzucić się na niego i wydrapać mu oczy. Nie miała wątpliwości, że specjalnie wywoływał wszystkie te bójkę. Głupi chłopak myślał, że ona zdoła zerwać kontrakt małżeński, którego żadne z nich nie chciało. Niewątpliwie wyjechał z Anglii, kiedy w końcu zdał sobie sprawę, że w kwestii ich odgórnych zaręczyn ona nie ma dużo więcej do powiedzenia niż on sam. Wyjazdem tym ocalił ich oboje przed tym małżeństwem sprokurowanym przez piekielne moce. Dziwne, ale czuła za to do niego wdzięczność. I skoro wyjechał na dobre, była w stanie opowiadać z humorem o swoim niegdyś koszmarnym zachowaniu, które on prowokował.

Wskazała głową na stygnące jedzenie, lecz Carol skierowała rozmowę na nowy temat.

– Julie, w najbliższą sobotę urządzam małe przyjęcie. Przyjdiesz, prawda? – spytała.

To zdrobnienie przyłgnęło do niej od czasów dzieciństwa, używał go nawet ojciec Julii. Zawsze uważała, że to niemądre mieć zdrobnienie tej samej długości co właściwe imię, lecz wymawiało się je nieco krócej, więc nie protestowała.

Spojrzała na przyjaciółkę znad ciastka, które właśnie zamierzała ugryźć.

– Czyżbyś zapomniała, że w tym dniu jest bal u Edenów? – zagadnęła.

– Nie, tylko myślałam, że postąpisz rozsądnie i wymówisz się od tego zaproszenia – rzuciła pośpiesznie Carol.

– A ja myślałam, że to ty zmienisz zdanie i przyjmiesz zaproszenie.

– Nie ma takiej możliwości.

– No, zastanów się, Carol – namawiała Julia. – Nie cierpię ciągnąć na takie imprezy tego nicponia mojego kuzyna, i on też tego nie znosi. Ledwo wejdziemy głównym wejściem, już rozgląda się za bocznym wyjściem. Nigdy długo nie posiedzi. Ale ty...

– On wcale nie musi z tobą chodzić – przerwała jej Carol. – Wszystkich tam znasz. Na przyjęciach nigdy nie jesteś sama dłużej niż przez minutę. Poza tym ten pilnie strzeżony przez hrabiego Manforda kontrakt małżeński oznacza, że wcale nie potrzebujesz opiekuna, bo jakbyś już była mężatką. O mój Boże, nie chciałam tego znów przypominać! Przepraszam!

– Nie przepraszaj. – Julia zmusiła się do uśmiechu. – Wiesz przecież, że nie musisz ze mną dyskretnie omijać tego tematu. Przed chwilą się z tego śmiałyśmy. Tak się wzajemnie nienawidzimy, że ten głupek, z którym jestem zaręczona, nie mógł wyświadczyć mi większej przysługi niż wyfrunąć z klatki, tak jak to zrobił.

– Tak to czułaś, zanim osiągnęłaś odpowiedni wiek do małżeństwa, ale to było trzy lata temu. Nie powiesz, że nie jesteś wściekła, gdy nazywają cię starą panną.

Julia wybuchnęła śmiechem.

– Tak właśnie myślisz, Carol? Zapomniałaś, że nie jestem tak jak ty arystokratką. Tego rodzaju etykiety nie mają dla mnie znaczenia. Najważniejsze, że nikomu nie muszę się tłumaczyć. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wspaniałe. I to już oficjalnie. Majątek rodzinny i wszystkie akcje są teraz moje – o ile ten łobuz nie wróci.

2

Julia zachnęła się na widok przerażonej miny Carol po jej obcesowej uwadze.

– Nie, nie to miałam na myśli! – powiedziała. – Mówiłam ci, że stan mojego ojca się nie zmienił.

– No to jakim cudem cały ten majątek i aktywa są twoje, jeśli on nie... odszedł? – zauważyła delikatnie Carol.

– Ponieważ kilka miesięcy temu, kiedy przez jakiś czas był świadomy, wezwał swoich prawników i bankierów do domu, po czym przepisał zarząd całym majątkiem na mnie. Zresztą i tak go sprawowałam od czasu wypadku, ale teraz już prawnicy nie będą mi patrzeć na ręce. Nadal mogą mi doradzać, ale nie muszę już ich słuchać. Tamtego dnia, wcześniej niż tego chciałam, ojciec uczynił mnie swoją spadkobierczynią.

Jednak prawnicy nie byli w stanie rozwiązać jej małżeńskiego kontraktu, co zresztą wiadano od dawna. Ojciec próbował bezskutecznie zerwać go wiele lat wcześniej, gdy się okazało, że jej narzeczony zniknął. Kontrakt

można było unieważnić jedynie za obopólną zgodą obu ojców, którzy go podpisali, a ten okropny człowiek, hrabia Manford, nie chciał na to przystać. Wciąż miał nadzieję na zagarnięcie – za pośrednictwem Julii – majątku Millerów. Taki miał plan od samego początku i z tego powodu zaraz po przyjsciu Julii na świat zwrócił się do jej rodziców z propozycją związku małżeńskiego pomiędzy ich dziećmi. Helen, zachwycona perspektywą posiadania w rodzinie lorda, pragnęła wykorzystać szansę wydania córki za przedstawiciela szlachty. Gerald, który był arystokracją mniej zauroczony, zgodził się na zaręczyny, żeby zrobić przyjemność żonie. Mogło się to zakończyć szczęśliwie dla wszystkich, gdyby para narzeczonych nie czuła do siebie takiej nienawiści.

– Wyobrażam sobie, jak to dobrze mieć tego rodzaju swobodę, ale czy to również oznacza, że zrezygnowałaś z wyjścia kiedykolwiek za mąż i urodzenia dzieci? – spytała Carol nieśmiało.

Nic dziwnego, że przyjaciółka pomyślała o dzieciach, skoro sama tak pragnęła je mieć.

– Nie, wcale nie. Chcę mieć dzieci – odparła Julia. – Zrozumiałam to, gdy po raz pierwszy wspomniałaś, że ty i Harry planujecie mieć dziecko. I na pewno w końcu wyjdę za mąż.

– W jaki sposób? – zdziwiła się Carol. – Myślałam, że ten kontrakt wiąże cię na zawsze.

– Tak, ale tylko dopóki syn hrabiego żyje. A minęło już dziewięć lat, odkąd wyjechał i słuch po nim zaginął. Nie wykluczone, że już zginął i leży gdzieś w rowie; mógł paść ofiarą napadu czy innej zbrodni.

– O dobry Boże! – zawołała Carol z ogromnym zdziwieniem w swoich niebieskich oczach. – No właśnie, mogło tak się zdarzyć. Po tak długim czasie możesz się ubiegać